

Od Wincentowa do Miastka, czyli długa i niezbadana „prześlona rewolucja” małych miast

Znawca problematyki miejskiej może po przeczytaniu tytułu głośno zaprotestować — przecież małym miastom/miasteczkom poświęcona jest już cała biblioteka! Nie przeczę, ale im bliżej naszym czasom, tym spojrzenie staje się bardziej szczegółowe i wybiórcze. Poniższy głos upomina się więc nie tyle o zauważenie problemu, co o nową, głębszą, bardziej interdyscyplinarną refleksję, zwłaszcza (lecz nie wyłącznie!) nad posiadającymi fundamentalne znaczenie latami 1939–1956, które Andrzej Leder słusznie zdefiniował jako „prześlona rewolucję”.

Zrealizowane w 1956 r. *Miasteczko* Jerzego Ziarnika, zaliczane do najważniejszych filmów dokumentalnych tzw. czarnej serii, rozpoczyna się od smutnej konstatacji, że: „Tonące okręty wysyłają w świat sygnał SOS, małe miasteczka giną bez jęku...”. Bohater filmu, zamierający Staszów na Kielecczyźnie, został przechrzczony na „Wincentowo” nie tyle dla niepoznaki, co raczej dla symbolicznego zmanifestowania powszechności zjawiska powolnej agonii polskich miasteczek. Nigdy nie były one specjalnie silne w porównaniu nie tylko z zachodnioeuropejskimi, lecz także np. czeskimi odpowiednikami. Proces ich osłabiania jeszcze przyspieszył w drugiej połowie XIX w., kiedy o przetrwaniu (nie mówiąc już o rozwoju) decydowały industrializacja i wydajne powiązania komunikacyjne. Coraz silniejsze stawały się tendencje do koncentracji ludności w dużych ośrodkach, dających większą szansę na pracę i będących w stanie zaspokoić coraz bardziej zróżnicowane potrzeby. Decyzje władz zaborczych, zwłaszcza austriackich i rosyjskich, pozbawiające wiele małych ośrodków praw miejskich były nie tyle represją, ile zazwyczaj potwierdzeniem stanu faktycznego. W tych dwóch zaborach miasteczka miały też charakterystyczny rys narodowościowy z olbrzymim odsetkiem ludności żydowskiej, stanowiącej często większość mieszkańców (np. Kałuszyn — ponad 80%, Jędrzejów — 75%, Pińsk — 63%, Tomaszów Lubelski 55%). Zwłaszcza w okresach kryzysów (politycznych i gospodarczych) prowadziło to do konfliktów międzyetnicznych. Tylko w latach trzydziestych XX w. było kilkadziesiąt antyżydowskich zająć i pogromów, jak np. w Przytyku, Mińsku Mazowieckim czy Myślenicach.

O ile z pierwszej wojny wielkie miasta na ziemiach polskich wyszły bez większego szwanku, o tyle boleśnie doświadczony został małomiasteczkowy świat Galicji, Kongresówki i Kresów Wschodnich. Choć w niepodległej II Rzeczypospolitej

domy udało się odbudować, to Warta i Przemsza wciąż stanowiły granicę cywilizacyjną — im dalej od nich na wschód i południe, tym większą rzadkość stanowiły w małych miastach nie tylko wanna i waterklozet, ale wręcz żarówka. Na początku lat trzydziestych w miastach poniżej 20 tys. mieszkańców mniej więcej co czwarty dom był zelektryfikowany, a niektóre — jak np. Staszów — doczekały się takiego udogodnienia dopiero po 1945 r.

Totalna II wojna pozornie obeszła się z małymi miastami łagodniej niż poprzedniczka. Oczywiście część legła w gruzach bądź na początku konfliktu (jak Wieluń), bądź na końcu, kiedy w ich pobliżu zatrzymał się front (np. Jasło uległo wtedy zniszczeniu w 97%, Ostrołęka i Pułtusk w ok. 80%). Jednak działania wojenne toczyły się zarówno w 1939, jak i 1944/1945 r. tak szybko, że większość miasteczek między Bugiem a Wartą ocalała. O ile jednak przetrwały mury, bardziej doświadczeni byli tym razem ludzie, zwłaszcza — praktycznie w całości pochłonięci przez Zagładę — Żydzi.

Co zrozumiałe, po wojnie upamiętniono przede wszystkim martwych. Na zachowanych ryneczkach w pierwszej kolejności stanęły pomniki pomordowanych Polaków, zarówno cywilów, jak i żołnierzy. Znacznie rzadziej, jakby ze wstydem, gdzieś na uboczu, koło dawnego kirkutu czy synagogi, upamiętniano żydowskich współmieszkańców. Ofiary, zwłaszcza polskie, długo stanowiły również najważniejszy przedmiot badań. Nawiasem mówiąc, „centralni” historycy koncentrowali się raczej na dużych miastach lub wsiach, małe ośrodki pozostawiając historykom lokalnym, często amatorom; wyniki ich poszukiwań, nieraz niezwykle interesujące, miały jednak niewielkie szanse na szersze zaistnienie. Na Peryferiach podlegali też silniejszej niż w Centrum cenzurze i presji, nie tyle urzędowej, ile środowiskowej. W rezultacie skupiali się na żołnierzach i ofiarach, na pragnących za wszelką cenę przeżyć cywilów często nie starczało zaś już miejsca, wiedzy i — odwagi.

Tymczasem okupacja była w przeciętnym miasteczku doświadczeniem radykalnie odmiennym od tego z dużego miasta. Zarówno z zachowanych (ale sporadycznie wykorzystywanych) materiałów archiwalnych — polskich i niemieckich, policji i podziemia, *arbeitsamtów* i RGO, jak i diariuszy (np. lekarza Zygmunta Klukowskiego ze Szczebrzeszyna, ks. Romana Penca z Przeworska czy pisarza Stanisław Rembeka z Grodziska Mazowieckiego) wyłania się barwny małomiasteczkowy mikrokosmos. Inne niż w Warszawie czy Krakowie były relacje polsko-niemiecko-żydowskie, ekonomia i obieg informacji, mobilność i strach, pomoc i przemoc, moralność i etyka, religijność i sieci społeczne, osvajanie i dostosowanie... Fragmenty tego mało znanego świata możemy podejrzeć przez pryzmat badań nad różnymi aspektami okupacyjnych dziejów małomiasteczkowych społeczności żydowskich i ich zagłady (np. *Klucze i kasa: o mieniu żydowskim w Polsce pod okupacją niemiecką i we wczesnych latach powojennych 1939–1950*, red. Jan Grabowski, Dariusz Libionka, Warszawa 2014 czy *Dalej jest noc: losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*, red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Warszawa 2018).

Ale co z miasteczkami w Wielkopolsce, na Pomorzu czy Śląsku, których te badania w zasadzie nie obejmują? Rzadko też wykraczają poza wojnę lub okres

bezpośrednio po niej. Skupiają się na procesie Zagłady, udziale w niej polskich czy ukraińskich sąsiadów, transferze majątku, a nie na codzienności miasteczek już bez Żydów, z „wyrwą” demograficzną, ekonomiczną czy kulturową, obejmującą nieraz większość dawnych mieszkańców. Wystarczy spojrzeć na statystyki małych miast, by się przekonać, że wojenne straty zostawały najczęściej zrekompensowane dopiero w latach sześćdziesiątych XX w.! Wyjątki — jak dolnośląski Dzierżonów — tylko potwierdzają regułę. Dzierżonów liczył w 1939 r. nieco ponad 12 tys. mieszkańców (oczywiście Niemców; Żydów doliczono się 25), natomiast na początku 1946 r. — 16 tys., z czego 12 tys. polskich Żydów, którzy wojnę przeżyli zarówno w niemieckich obozach, jak i w głębi ZSRR. W listopadzie 1946 r. żydowska społeczność tego miasta liczyła już blisko 18 tys. osób, ale trzy lata później już tylko ok. 5700!

Można to symbolicznie odczytać również jako rezultat postępującej od końca lat czterdziestych glajszachtyzacji losów małych miast. O ile wcześniej, zarówno przed 1939 r., jak i w latach II wojny, można wyróżnić dwie narracje (mało)miejskie, z grubsza obejmujące (dawny) zabór pruski plus Górny Śląsk *versus* (dawne) zabory austriacki i rosyjski, o tyle w 1945 r. przybyły ośrodki miejskie na Ziemiach Zachodnich i Północnych, często zniszczone przez wojnę, ale zazwyczaj o nieporównywalnie lepszej infrastrukturze i zawsze stanowiące demograficzny, społeczny i kulturowy palimpsest. Jednak zadekretowana w 1945 r. propagandowa wyjątkowość i odrębność tzw. Ziem Odzyskanych trwała zaledwie kilka lat i od końca lat czterdziestych anomia małych miast zaczęła przybierać podobny kształt pod Wrocławiem, Poznaniem, Krakowem czy Warszawą.

Było to zjawisko tym istotniejsze, że w powojennej Polsce wciąż dominowały małe miasta i miasteczka, często o rolniczym charakterze. W 1950 r. spośród 748 miast aż 660 (88%) miało poniżej 20 tys. mieszkańców (3348,8 tys., 31,7% całej ludności miejskiej). Ponad połowa (409) ośrodków miejskich liczyła mniej niż 5 tys. mieszkańców. Demograficzny cios przyniosła im wojna, ale pod względem funkcji administracyjnych, ekonomicznych czy kulturowych dobiły je stalinowska nacjonalizacja i centralizacja. „Bitwa o handel” praktycznie pozbawiła je najważniejszej dotąd grupy ekonomicznej — prywatnego handlu i rzemiosła. Na przykład w reprezentatywnym chyba dla większości polskich miasteczek Garwolinie, znanym z garbarstwa i produkcji kozuchów, w połowie lat pięćdziesiątych zaledwie 80 rzemieślników pracowało legalnie w spółdzielniach i własnych warsztatach, ok. 500 przeszło do podziemia (gospodarczego), a drugie tyle porzuciło rzemiosło na rzecz rolnictwa lub handlu.

Fatalne były również skutki podcinania tradycyjnych ról małych miast jako lokalnych centrów administracyjnych, kulturalnych czy infrastrukturalnych. Na wsi lokowano bowiem coraz częściej ośrodki zdrowia, kina czy usługi, zazwyczaj jednak nie zapewniając im odpowiednich warunków kadrowych czy organizacyjnych. Jak oceniano, bardziej efektywna dla koniecznego zbliżenia wsi i miasta miała być raczej sprawna komunikacja między nimi. Na obliczu miast(eczek) odbiła się również likwidacja samorządów w międzywojennym kształcie, w którym mogły rzeczy-

wiście decydować o kierunkach rozwoju lub przynajmniej dbać o miejski majątek. W rezultacie pod koniec pierwszej powojennej dekady bardziej optymistyczna przyszłość rysowała się przed tymi ośrodkami, wobec których zapadły centralnie (i najczęściej arbitralnie) decyzje o ich uprzemysłowieniu. O ile jednak np. kombinat włókienniczy radykalnie zmienił Zambrów, a obuwniczy — Nowy Targ, o tyle większość małych miast i miasteczek borykała się ze strukturalnym bezrobociem.

Tragiczny los małych miast wydobyla z cienia i upowszechniła odwilż 1956 r., która umożliwiła nie tylko realizację filmu *Ziarnika*, lecz także ukazanie się szeregu, czasami wstrząsających, reportaży oraz analiz socjologicznych lub ekonomicznych. Już kilka miesięcy przed Październikiem zainicjowano tzw. fundusz interwencyjny, mający dzięki środkom centralnym stworzyć nowe miejsca pracy w małych miastach i zmodernizować ich infrastrukturę. Trudno oczywiście generalizować, ale sposób wykorzystania funduszu zależał w dużej mierze od — jakbyśmy to dzisiaj określili — poziomu społeczeństwa obywatelskiego. Im bardziej były ugruntowane tradycje samorządowe lub/i wyższy poziom cywilizacyjny, tym rezultaty były lepsze, a skorzystali rzeczywiście bezrobotni, a nie lokalne sieci klientalne. Nie zaskakuje też, że najlepiej poradzono sobie w Poznańskim, nieźle wypadło Rzeszowskie, marnie zaś Kielecczyzna. Październik miał jeszcze jeden długofalowy skutek — problemu małych miast nie dało się zamieść pod dywan.

Dwa lata po dokumencie *Ziarnika* powstał kolejny film pod takim samym tytułem (fabularne tym razem *Miasteczko* zrealizował Romuald Drobaczyński w Sieradzu). Przesłanie było jednak inne — obraz jest nie tyle pesymistyczny, ile ludyczny, bieda i biedota są niewidoczne, w przeciwieństwie do dorobkiewiczostwa i małomiasteczkowej kołtunerii. Film miał być krytyką, jednak w sposób chyba niezamierzony pokazał symboliczny, drobnomieszczański fundament najpierw gomułkowskiej, potem gierkowskiej „małej (de)stabilizacji”. Choć ogłaszanie PRL przez obu I Sekretarzy jako dziesiątej (a czasami ósmej!) światowej potęgi gospodarczej było czystą propagandą, to duża część małych miast odżyła, zarówno dzięki rozwojowi tzw. przemysłu terenowego, jak i inwestycji centralnych. Odwołując się tylko do wspomnianych wyżej miast — Staszów dzięki kopalni siarki i elektrowni w Połańcu, a Ostrołęka — kombinatowi papierniczemu.

Zmianę widać po wydawanych na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (kolorowych) pocztówkach z przeciętnych, mało znanych (lub nieznanych zupełnie) małych miast, na których obok elementów „klasycznych” — ratusza, rynku i pomnika poległych pojawiły się symbole nowoczesności: pawilony handlowe i gastronomiczne (Kolbuszowa, Brzozów, Świebodzin...), hotele i motele (Opole Lubelskie, Bielawa, Syców), komunikacja miejska, kina i szkoły średnie (Kodeń, Dziwnówek, Wągrowiec...), parkingi (najczęściej z kilkoma samochodami). Na pełniących dziś podobną, informacyjno-propagandową funkcję stronach internetowych miast i gmin obraz jest podobny: domy mają nowe elewacje, ryneczki (z obowiązkową fontanną) pokryła betonowa kostka, a parkingi nie mieszczą już samochodów. Jak owa „nowoczesność” może prowadzić na manowce, pokazują opublikowane

na początku 2018 r. badania przeprowadzone przez zespół Macieja Gduli w mazowieckim, jednakże reprezentatywnym dla całego kraju „Miastrku” („Dobra zmiana w Miastrku. Neoautorytaryzm w polskiej polityce z perspektywy małego miasta”).

Obraz „Miastrka”, jakże inny od „Wincentowa”, ale równie niewesoły i przygnębiający, pokazuje, że „prześniona rewolucja” skończyła się przed sześćdziesięciu laty może w Centrum, wciąż trwa jednak na Peryferiach, ze swoimi gminnymi i powiatowymi „stolicami”. Może *Dobra zmiana w Miastrku* powinna skłonić do nowego, interdyscyplinarnego spojrzenia na małe miasta. Może czas najwyższy przestać dzielić przeszłość, również miast, na odcinki wyznaczane przez cezury wojenne, a potem rządy kolejnych I Sekretarzy (sam popełniłem taki grzech, pisząc dzieje gomulkowskiego Zakopanego!), lecz spojrzeć szerzej i głębiej, wzdłuż, w poprzek i na skos. Konieczne jest zauważenie nie tylko ich stabilnego, jak się wydawało, „długiego trwania”, ale również zmienności i wewnętrznej dynamiki. Trzeba prześledzić relacje z władzą, bliższą i dalszą, strategie nie tyle oporu, ile przystosowania, sprawdzić, jak wiązano i gdzie zarzucano sieci społeczne i jaki kapitał w nie łowiono, poszukać nie tyle linii podziału, co kompromisu między (symbolicznymi) panem, wójtem i plebanem. Narzędzi i metod — historiograficznych, antropologicznych, socjologicznych czy ekonomicznych — nie brakuje. Źródeł również, zarówno nowych, jeszcze nieeksplorowanych, jak i znanych od dawna, które należałoby ponownie zinterpretować. Niezłębione są zasoby Internetu, należałoby też wykorzystać renesans zainteresowania lokalnością, którego przykładem są m.in. licznie powstające Cyfrowe Archiwa Tradycji Lokalnej. Oby się tylko chciało chcieć!

